



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ANNA LIBERA

(„ANNA L. KRAKOWIANKA”).

Wspomnienie pośmiertne.

Dnia 12 Czerwca b. r., na krótko przed zachodem słońca, stanął przed bramą krakowskiego cmentarza skromny, parokonny karawan. Służba karawanowa wniosła na cmentarz ubogą trumienkę... na trumnie był napis: „Anna Libera, literatka, żyła lat 82”... Za trumną kroczyło grono jedynie niewieście, niezbyt liczne; byli to wyłącznie bliżsi krewni zmarłej...

Podobnie skromnych pogrzebów, jak ten, o którym mówimy, bardzo wiele staje u bramy cmentarnej, ale nie zawsze one budzą taką mnogość smutnych myśli...

Anna Libera, znana pod imieniem Anny Krakowianki, była od lat wielu pracowniczką pióra; oprócz niwy poetycznej, którą uprawiała, pisząc piosenki pełne prostoty, sielanki, wykazujące znajomość ludu; wybrała dla siebie zagon najbardziej potrzebujący uprawy, bo niwę pracy nad literaturą ludową; czyniła na nim, co mogła, jak mogła; pracowała długo—pół wieku—przeszła przez życie mało znana i, odwołana z ziemi, gdzie pożytecznie długie twarde pasmo dni swych snuła—odeszła na pozaswiecie cicha, również nieznaną, bez słowa uznania na mogile, bez gałązki wspomnienia literackiej rzeszy i wieńca hołdu młodych bodaj, żywiej czujących pokoleń—bez szerszego rozgłosu, którym dziś świat dość hojnie obdarza, tem może hojniej, iż ludzie obe-

nie lubują się w rozgłosie, dla niego więcej czynią, niż dla innych, wyższych pobudek. Ta cisza około jej trumny niech nie dziwi; pokolenie u którego kolebki czytano jej piosenki, w pewnej części już w grobie...

Po Rautenztrauchowej, o której również świat za życia zapomniał i na wiele lat zanim umarła, pogrzebał ją w mogile zapomnienia, bez względu na jej prawdziwy talent,—Anna Krakowianka należała do najsędziwszych pracowniczek pióra. Pisywała Libera pospolicie pod pseudonimem „Anny L. Krakowianki.” Jej piosenki z lat dawnych tak się stały popularnymi, iż przeszły do ust ludu. Pisywała ona wiele i w dawniejszej i w późniejszej dobie swej działalności do pism ludowych, na które u nas, niestety, dziś jeszcze—mało zwracają uwagi, a przed laty tembardziej nikt prawie do nich nie zaglądał—i to wszystko przyczyniło się do maluczkiego rozgłosu jej imienia. Dzisiejsze pokolenie ze zdziwieniem słyszy, że była taka poetka. A jednak to imię dobrze zasłużone.

Było-to dziecię najpiękniejszej cząstki krakowskiej ziemi, dziecię okolic Zamku Tenczyńskiego. Przyszła ona na świat w r. 1804, we wsi Morawicy, blisko Krakowa, bliżej Tenczyna; w Morawicy jej ojciec był wiejskim nauczycielem. Ojciec Anny, Jan Libera, to postać niepospolita; człowiek XVIII w. (ur. r. 1769)—żołnierz, pielgrzym po dalekich ładach, a wreszcie z zamilowania, z powołania, dla zadosyć uczy-nienia wzniosłym aspiracyom ducha swego, dla weiclenia w czyn myśli obywatelskiej—nauczyciel wiejski w Morawicy, skazany na tysiące prywatcy, na ciężką biedę z rodziną, na niejedną przeszkodę w spełnianiu swych obowiązków... Dziś los nauczyciela wiejskiego u nas jest jedną z smutniejszych otchłani biedy. Cóż to za doła była przed kilkudziesięciu laty! Nienadawa gdzie gasło życie Bartusówny i dziś nie jest—ku wstydowi naszemu—wyjątkiem; na początku w.

XIX-go było gorzej, nauczyciel wiejski wszędzie spotykał takie „Nienadowe.” Stara, walcząca się izba szpitalna, zamiast na trupiarnię, co może właściwszem byłoby jej przeznaczeniem, została w Morawicy przeznaczoną na szkołę; tam Jan Libera swój pracowity zawód prowadził. Praca i miłość zawodu zamieniły smutne pustkowie na przybytek nauki.

Lecz jak niezwykłą był osobistością Libera, tak również niezwykłym zakresem udzielanej przez niego nauki. Był on w one lata, gdy Morawica należała do Księstwa Warszawskiego, później zaś do „Obwodu wolnego, niepodległego, ściśle neutralnego miasta Krakowa,” był on wszystkim dla swej gminy: nauczycielem, przewodnikiem, doradcą, dla małych, starszych i starców—słowem dla wszystkich, co noszą sukmanę i stanowią podstawę bytu społecznego. Uczył tedy wszystkich wszystkiego: w szkole, której ściany wykleił własnoręcznie wysztychowanymi wzorami abecadła i pisma, wykładał naukę czytania, pisania, arytmetykę; poza szkołą, na podsiennicach i wieśniaczych, w pogadankach, uprzystępiał wieśniaczej rzeszy starszych wiadomości o ziemiach i ludach dalekich, o obowiązkach człowieka wobec bliźnich i ziemi żywicieli; uczył jak lepiej lemieszem zagon orać, jak drzewa szcze-pić, kwiatami ogródki umajać. Sam więc chodził za pługiem wraz z oraczem, drzewa szczepił, kwiaty sadił i książki rozdawał swym młodocianym uczniom, lub sam je czytał starszym, niepiśmiennym. Takim był Jan Libera, ojciec Anny Liberówny, taką atmosfera życia pracy, nacechowanej wyższą myślą, wśród której wzrastała przyszła pracowniczka na niwie literatury ludowej. Zaledwie odemknęła ona pacholece oczy na świat i obowiązki życia pierwszym wrażeniem, pierwszym dla niej obrazem, co się niezatartymi bruzdy wyrył w głębinach myśli i uczuć dziewczęcia, były prace ojca pod wieśniaczemi strzechy. Pod osłoną tych wrażeń dziewczę wzrasta-

ło, przygotowywało do życia, uczyło się jego obowiązków, hartowało swe młodociane siły na bój życiowy, długi, trudny, beznadziejny. Wrażenia wyniesione z owej szpitalnej izby, zamienionej na najwzorzowszą wówczas u nas szkołę ludową, stały się tłem wiejskich obrazków, sielanek, poetycznych utworów, które zpod jej pióra później dość obficie wychodziły.

Pierwszym jej nauczycielem był światły ojciec; pod jego kierunkiem gruntownie zapoznała się z językiem ojczystym i pierwsze kroki na niwie poezji stawiać zaczęła. Przewodniczył jej poniekąd podczas wczesnej młodości, brat, człowiek ukształcony, posiadający czternaście języków, nauczyciel ludowy w Łobzowie. Pracą własną reszty dokonała.

Sędziwy ojciec, znużony pracą nadmierną, złamany laty, opuścił swe stanowisko w Morawicy i wkrótce potem, w r. 1840 w Krakowie, żyć przestał.

Osierocona Anna zamieszkała odtąd w Krakowie z matką starszą, pracując na chleb dla siebie i matki. Poezye wyżyć nie mogły; nie były to zresztą czasy, w którychby wiersz, najbardziej nawet udatny, lub powieść czy dramat, zdobyć mogły chleb dla literackiej rzeszy. I pracownicy ówczesni nie dla widoków materialnych pracowali. Chleba szukano na innych drogach; pisano zaś, by czynić zadość wewnętrznej potrzebie i gwoli dobru ogólnemu, a więc młoda poetka nie na niwie poezji zdobywała środki istnienia. Żywiła ona siebie i matkę ciężką pracą, pracowała igłą. Dnie spędzała na szyciu bielizny, a noce poświęcała poezji. Ciężkie to istnienie nie gasiło żarzewia prawdziwego natchnienia, które w jej piersiach niewątpliwie płonęło. Łączyły ją bliższe stosunki z Bron. Trentowskim, Wincen. Polem, L. Siemińskim, Ed. Wasilewskim i innymi dawnej epoki ludźmi pióra. Starzy ci przyjaciele byli dla niej zachętą, osłoda, wskazówką, pokrzepieniem. Samorodny talent, chociaż w pierwszych latach nie kształcony na odpowiednich wzorach, zdołał się rozwinąć szybko, samoistnie, odznaczając się dziwną, sielską prostotą, która stanowiła główną okrasę jej utworów.

Pierwsze utwory poetyczne Anny Libery ukazały się w druku dość późno, bo dopiero w r. 1842. Były to czasy budzącego się w Krakowie ruchu literackiego po dość długim uspieniu. Libera, występująca już pod imieniem Anny Krakowianki, bierze w nim udział wraz z Edmundem Wasilewskim, a nawet jest główną sprawczynią tego ruchu umysłowego około r. 1841. Poprzedza ona Wasilewskiego w budzeniu życia literackiego w starym Krakowie. Ona i E. Wasilewski są pewien czas głównym ogniskiem umysłowym, około którego skupiają się siły młodsze, pełne życia, dążące do nowych ideałów. Młodociane umysły garnęły się do tego ogniska ochotnie. „Krakowiaki” Wasilewskiego, piosnki Libery, jej „Poezye Narodowe,” „Pielgrzym,” były w ustach wielu.

Pewne powinowactwo talentu łączy A. Libere z Wasilewskim. I ona i on nie są to poeci-artysty, ale śpiewacy, niewznoszący się do wyższych tonów. Ci, co do nich się garnęli, i oklaskami ich obdarzali, poprzestawali na nucie o tonach mniej podniosłych; była ta nuta nawskroś swojską, mówiła do uczucia, odbijała niejako w sobie świat ideałów i pojęć ówczesnej młodzieży. Świat ten załudniały typy ludowe, a takżeż pokrewne typy spotykano w poezjach Libery. Czytane więc były chciwie jej utwory przez całe pokolenia przed trzydziestu, czterdziestu laty.

Po pierwszym zbiorku poezji z r. 1842 wyszedł drugi w r. 1846, a wreszcie trzeci, drukowany w Paryżu (1848), noszący zaś tytuł: „Poezye narodowe.” Pierwszy z tych zbiorków największe wywarł wrażenie; najwięcej tam prostoty. Najwyższym szczytem jej wziętości był rok 1859, gdy wydała swą sielankę p. t. „Wiejska rodzina.” Od owej chwili talent jej poetyczny znać zaczął wyczerpywać. Pisała jednak ciągle, dramata („Jadwiga”, „Małgorzata Zembocińska”) poemata („Apostata”, poemat w 7-u pieśniach), powiastki liczne, ukazywały się w różnych czasopiśmiech tutejszych—niezależnie od

tego pisywała do ludowych pisemek; prace te wszakże nie wywierały podnioslejszych wrażeń, acz krytyka onych lat warszawska, bardzo przychylnie mówiła o jej talencie. W r. 1845 Hip. Skimborowicz pisał o niej obszernie w pismach warszawskich, a w r. 1859 „Gazeta Warszawska” podnosiła doniosłość poetycznych uzdolnień A. L. Krakowianki.

Lata jednak pływały; nowe pracownice ukazały się na niwie piśmienniczej, świat czytelniczy stał się bardzo wymagającym, upodobania się zmieniły i w późniejszym wieku natchnienie poetyczne nie dopisywało autorce tak wdzięcznych niegdyś sielanek. Lecz poezya nie jest jedynym polem jej prac. Pisywała ona wiele, jak wspomnieliśmy, do pism ludowych; „Gwiazdka Cieszyńska”, „Włościanin” stały były zasilane utworami jej pióra; pisywała do „Niewiasty”, pisma dla kobiet, wydawanego w Krakowie, przez J. K. Turowskiego, gdzie wśród innych jej utworów czytamy pracę, która w swym czasie sprawiła pewne wrażenie p. nap. „Rozprawa o kobietach.” Skreśliła piosenki do „Jasełek” do owej „Szopki”, którą więcej chłopcy po domach roznoszą.

Pisząc ciągle, długie lata, w ostatniej dobie działalności i w ostatniej życia, posiadała dużo swych rękopismów, których druk coraz cięższym się stawał. Nie ubiegała się o nakładców, sama niejednokrotnie własnym nakładem, w ostatnich dziesiątkach lat, drukowała swe prace, chroniąc je w ten sposób od zagłady. Lecz i to przychodziło z trudnością niemałą, potrzeba się było oszczędzać, zbierać grosz po szelągku, narażać się na prywacyą, aby garstkę swych myśli przechować dla następnych pokoleń.

Spółeczna dziedzina działalności Libery godną jest obszerniejszych studyów. Odbijały się w niej prądy nieco krańcowe, przemycane do Rzplity Krakowskiej z zagranicy... Wzniosła jej dusza kochała wszystko, co wzniosłe, piękne, kochała przede wszystkim swą ziemię rodzinną i lud wiejski, tę podstawę bytu narodowego, a do nowych prądów z przed r. 1846 mimowoli Ignęła... Uszlachetnienie ludu, podniesienie go moralne, szerzenie wśród smiernej braci oświaty, było od wczesnej młodości jej marzeniem i o urzeczywistnieniu swych ideałów do końca życia nie zbacała. W każdym z jej utworów, aż do ostatnich, kreślonych ręką drżąca, przy wzroku gasnącym, skrzę się iskry świętej miłości dobra społecznego.

Nie były to iskry ogników błędnych, lecz uczucie głębokie, z którego czyn urastał. Ona pierwsza podniosła projekt „Towarzystwa wstrzemięźliwości” i wystąpiła z odezwą do duchowieństwa, wzywając jego współdziałania.

Zamiary jej szlachetne nie znajdowały poparcia, przynajmniej na tyle, jak zasługiwały. Umysł to był samodzielnny, charakter niezłomny, co się nie nagiął do usposobień większości wówczas panujących, gdy pierwsza z kobiet, wystąpiła z odczytem publicznym w Krakowie, dziwiono się i gorszono... Kobieta pisząca, kobieta podnosząca sprawy społeczne, były to rzeczy nowe przed pół wiekiem w małuczkiej Rzeczypospolitej Krakowskiej. Spotykały przeto Libere zarzuty wielorakie; uprzedzenia tak dalece dokoła niej wybujały, iż ciskano na nią gromem potępienia; publicznie głoszono, iż kobiecie pisać nie przystoi...

Spuszczona rękopiśmienna pozostała obecnie po niej dość obfita; wśród wielkiej ilości drobnych poezji są dramata, jest biografia ojca, o którym wyżej wspominaliśmy, rzecz nader cenna, bo stanowi przyczynek do dziejów naszej szkoły ludowej, a wreszcie jej własna antobiografia literacka.

Prace i dążności A. Libery godne zaiste, aby jej literacka spuścizna razem zebrana, ujrzała światło dzienne, aby nie zatraciły się piękne myśli, wzniosłe uczucia kreślone jej piórem.

Lud krakowski nieco zachował jej serdecznych uczuć w skarbnicy swej pamięci.

Niektóre z jej piosenek, jak już wspomnieliśmy, przeszły do ust ludu, lub brzmią przy Jasełkach w ustach wiejskiej dziatwy. Wyparły te utwory, o myśli podnioslejszej, niejedną poziomą śpiewkę, natomiast brzmi szlachetny śpiew: „Nasz śliczny

Kraków, starodawny gród.—Ma śliczną ziemię, rzeźwy, dziarski lud”... lub inne piosenki wymownym słowem opiewające podania miejscowe, podnoszące świadomość obywatelską mas siermiężnych...

Ostatnią pracą Anny Krakowianki był wiersz do Matejki, skreślony w r. 1883. Od owej doby choroba już ją obalała, a wzrok gasł powoli. Oczy spracowane igły, oczy wypłakane wobec klęsk, zaćmiły się dla niej... Koniec się zbliżał... Gasnąca ta jednak istota, słaba fizycznie, umysłu rzeźwości nie traciła. Dawna wrażliwość na sprawy publiczne zawsze tażsama pozostała; chociaż już zakres stosunków uszczuplił się, czas, śmierć, okoliczności przerzedziły znacznie szeregi, chociaż świat swojski, który ona tak mocno kochała, zapomniał o niej zupełnie. Gasła w zapomnieniu wśród wspomnień grobów i jakby oddawna wymazana z listy żyjących... Przytomność i swoboda myśli, błyski dawnego poetycznego zapału i hartu woli nie zniknęły do ostatnich godzin życia, gdy duch jej niepospolity, pojednany z Bogiem, opuszczał ciało schorzałe, a mocno wypróbowane w ogniu ciężkich, wieloletnich prac, doświadczeń i niedoli...

Zgasła w Krakowie d. 10 Czerwca 1886 roku. Matka-ziemia przytuliła ją miłośnie do łona; była to bowiem jedna z pracowitszych, pożyteczniejszych i więcej miłujących córek. Cześć i pokój jej ceniom...

Maryan Dubiecki.

CO TO JEST MIŁOŚĆ?

Czy to jest anioł, który cicho złata
By unieść duszę do innego świata,
A gdy otoczy ją skrzydłami swemi,
Ona już odtąd nie mieszka na ziemi,
Lecz, wzięwszy z życia aniołów coś w siebie,
Chciałaby nie znać ziemi i żyć w niebie...
Więc dla miłości—gdy zamało świata,
Może aniołem jest, co z nieba złata?

Może pociechą jest dla tych, co płaczą?
Może jest chwałą tych, co nic nie znaczą?
Może to żar jest, co z serca wybucha
Długo bezwiedny i długo tajony—
Aż naraz krzyknie: „Jestem!” i natchniony,
Tajemniczości rozwarłszy podwoje,
Staje, wołając w głębi uczuć głośno:
„Ja panowania chcę! daj serce twoje!”—
A ma despoty władzę bezlitosną
I niezwalczony jest, nieunikniony...

Co to jest miłość? Czy to jedna chwila
Gdy całe niebo ku ziemi się schyla?
I wewnątrz róży i serce człowieka,
W jedną barwę cudu przyobleka,
A potem niknie, i z rąk się wydziera...
I wędnie róża... i serce umiera...

Czy to ożywcza woń jest świeżych kwiatów?
Zasada bytu, czy atrakcja światów?
Czy to jest wieczna bezmiaru potęga,
Która atomy w ład ogromu wprzęga?
Czy miłość światłem jest, ciepłem, czy ruchem,
Prądem rozwoju, co leci rozumny
Naprzód?—iskrą, co tęskni za wybuchem?
Podniosłym gwałtem, co—sam z siebie dumny—
Z pogardą brząka doczesnym łańcuchem,
Wierząc niezłomnie, że kiedyś w przyszłości
Łańcuch zostanie się gdzieś na dnie trumny,
A on uleci w blask nieskończoności?

Ach! co jest miłość? Może to przecucie,
Że jest świat drugi, lepszy, spokojniejszy,

Gdzie wszystko ciszą jest, szczęściem wieczności,
I gdzie ma prawo swe każde uczucie
A duch się staje czystszy i wolniejszy,
Strząsnąwszy z siebie pyły doczesności?...

Co to jest miłość? Czy to czego niema,
A co pragnieniem jest wiecznie tlejącym,
Które jak błędny ognik swem mdlejącem
Spojrzeniem prawdę w zawieszeniu trzyma—
I nigdy jasno zabłysnąć nie raczy;
Samemi tylko półtonami dźwięczy;
Gdy dusza śpiewa i płacze lub jęczy,
Lub niepokoi się. . to miłość znaczy?

Ach! co jest miłość? Czy to duch samotny,
Który czasami tak nagle zstępuje
I tak łagodnie w duszę się wpatruje,
I takie słodkie, ciche mówi słowa,
Że dusza lecieć z nim w bezmiar gotowa;
Lecz on za chwilę odbiera nadzieję
I po kolei swe słowa rzucane
Bierze napowrót i w daleką stronę
Znów odlatuje sam, i bezpowrotny...
I kiedy pytam się:— „Ach co to było?“
Ochodząc mówi:— „Szczęście ci się śniło...“

Co to jest miłość? Czy to ty, widziany
Raz jeden tylko na szerokich drogach
Mojego życia i niepowitany,
Cieniu! błędzący po leśnych rozłogach,
Wśród śpiących kwiatów, geniuszu kochany—
Widziany kiedyś, ale nie oczami,
Wołany nieraz, ale nie ustami,
Tylko tęsknotą, nie sercem, poznany?

Ach, co jest miłość? Czy to jest natchnienie,
Poezya, szczęście jedyne na ziemi?
Czy wiosna myśli, czy serca kwitnienie,
Czy też dwóch duchów zbawienie?

Może to uczuć jest całopalenie,
Skrzydła niosące nad padoleń ziemi,
Może to życia całego ofiara,
Może rozkoszy to najczystsza czara...

A może miłość—to tylko cierpienie?

Szczęсна.

POGA WĘDKA

Choćby człowiek nie chciał, to musi od pogody zacząć, jak stary emeryt jaki; jest to temat, który mi samo niebo dyktuje od dwóch tygodni prawie, grając chmurno - deszczowo - gradowo - wietrzną fugę.

Wszystkie uciechy terminowe zepsuła nam pogoda, festyn ludowy na Ujazdowie, obchód Wianków na Wiśle, projektowane wycieczki w Niedziele, wszystko się zepsuło, zamokło, jak domek z bibuły na deszczu.

Żeby to jeszcze lało, co się zowie, z pełnego cebra, ale gdzie tam!... słońce bawiło się z nami w ślepa babkę, nie pozwoliło na zupełną rezygnację, to mrugnęło oczkiem, to się schowało, deszczyk sobie po kropelce, po kropelce pokropił, wyręczając stróżów kamienicznych w obowiązku połewania ulic, potem wietrzyk wysuszył bruki i dachy, a potem znowu przysznic i tak *da capo senza fine*.

Dla człowieka nerwowego taka pogoda jest istną męczarnią, a najzdrowszego w ciągu dwóch tygodni zdenerwować musi.

Spodziewaliśmy się, że ten letni karnawał skończymy z humorem i fantazją, że sobie damy jeszcze kilka ostatnich rendez-vous publicznie przed rozjazdem na wszystkie cztery strony świata, a tu takiego figla wyplatały nam Danaidy.

W atmosferze coraz więcej czuć się daje zapach zielonych ogórków — nie czujecie jeszcze?... za tydzień najpóźniej zacniemy ziewać, jak śpiące krokodyle na piasku.

La saison morte commence!..

Ks. Bismarck na trzy miesiące podobno wyjeżdża na urlop do Kisingen i Gasteinu, z czego możnaby wnioskować, że i w polityce nic ważniejszego nie zajdzie i że będzie można drzemać nie tylko na jedno oko.

Nieszczęśliwego Ludwika II go już pochowano, sensacyjny materiał o szalonym Królu-fantastyku wyczerpał się już w dziennikach; co to będzie?

Przyznaję się, że ten tragiczny skon bawarskiego monarchy, przejął mnie do głębi; w całym tem życiu, jak i w śmierci koronowanego dziwaka, poety mizantropa na tronie, spóźnionego w dziejach Ludwika XIV w stosunku do sztuki, było jednak coś bardzo niepospolitego i oryginalnego.

Niech sobie tam historia wyrokuje o nim, a Niemcy strzegą teraz legendę o czarodziejskich zamkach i przedstawiają króla jako złego patryotę i niewiernego Cesarstwu sprzymierzeńca, dla mnie człowiek ten z całą swą fantastycznością, dziwactwami, szaleństwami był zawsze wielce interesującym.

Niestworzone rzeczy opowiadają teraz o topielcu z starnberskiego jeziora i samotniku z Hohenschwangau, któremu losy od kolebki wszystko dawały, co może i powinno podnieść, wywyżczyć i uszczęśliwić człowieka, ale jakiś zły duch zawistny zabrał mu odrobinę mózgu z Antinonsowej głowy i popsuł wszystko, jak ów psotnik, który z wielce kunsztownego mechanizmu wykręcił cichaczem jedną, małą, ale najpotrzebniejszą śrubkę i bez tej śrubki mechanizm nie mógł prawidłowo funkcjonować.

Jednak w dziwactwach jego bywało coś logicznego, a w pomysłach szalonych coś poetycznego i pięknego.

Wspaniałe zamki, zbiory, skarby sztuki pozostały pamiętką po królu—waryacie; gdyby miał był tyle pieniędzy, ile potrzebował, byłby świat zadziwił pałacami na kurzych nóżkach, jaśniejącymi od złota i marmurów, fantastycznymi budowlami i zamkami, w których sale miały być wykładane drogiemi kamieniami, a z okien których widać by było sztuczne wulkany.

Piękne marzenia miał ten szalony król wśród prozy i powszedniości życia... Szkoda tylko, że nie żył w czasach bajecznych, gdy lampa Aladyna skarby pozwalała odkrywać niewyczerpane.

W naszym wieku ubogim a trzeźwym, nie wolno mieć za kosztownych fantazyi, nie wolno być bezkarnie idealistą, poetyzować, marzyć i nie obliczać się z warunkami życia i możności.

Przyznam się, że jeden z tysięcy dziwacznych pomysłów Ludwika II wydał mi się nawet bardzo oryginalnym i godnym rozpowszechnienia tam, gdzie wśród wielu głupców często mądrego odróżnić niepodobna.

Oto jeden z kamerdynerów królewskich odezwał się z jakimś głupstwem przy królu; król kazał mu na czole przybić pieczętkę z czarnego laku na znak, że ma mózg zapieczętowany i że rozsądna myśl nie może się do niego przedostać.

Gdyby takie prawo ogólnie obowiązywało, niektóre czoła wyglądałyby jak... koperty naszych listów pieniężnych.

Przyznajcie jednak, że to oryginalny pomysł kazać komu zasekwestrować głowę i chodzić w żałobie po własnym rozumie.

A *propos* żałoby, to podobno najświeższa moda w Paryżu.

Nadsekwańskie strojnisię od czasu śmierci hrabiny Chambord ubierają się szaro, popielate suknie z białemi lub czarnemi przodami należą obecnie do największego szyku. *Pardon!*... nie mówi się już o szyku w Paryżu. Moda zmieniła i język; dawniej był zwyczaj wyrażać się: *Elle est chic, ça fait chic!*... teraz się mówi o kobiecie dobrze ubranej: *elle est devil, ça fait devil!*

Czem więcej elegantka podobna jest do émy, tem lepiej; czy dlatego, żeby jeszcze więcej upozorować instynkta, które każdą Paryżankę ciągnęły od wieków do świecy?... ileż z nich i w najjaskrawszych kolorach ginęło w płomieniu!..

Nieboszczyk Balzac, znakomity znawca płci pięknej, fizyolog moralności, gustów, charakterów i temperamentów kobiecych pozostawił bardzo ciekawe, choć może nie zupełnie trafne, uwagi o kobietach i barwach, twierdząc, że każda kobieta dobiera sobie analogiczne kolory ze swoim charakterem, lub umysłem.

Kobiety mające upodobanie do sukien koloru pomarańczowego, amarantowego, granatowego, żółtego lub jasno-zielonego — mówił — będą niewątpliwie... kłótliwego usposobienia. Nie należy ufać tym, które lubią barwę fioletową, a mniej jeszcze takim, które noszą jasne kapelusze. Znaczyłyby to, że w naszych czasach żadnej z modnych pań zaufać nie wolno.

Kobiet ubierających się czarno trzeba unikać, barwa ta słusznie kabalistyczną się nazywa; ten tylko stroi się w czarną krepę i czarne błyskotki, kto się chętnie najbardziej ponurym myślom poddaje.

Było tak może za czasów Balzaca, dzisiaj te czarne gąsienice miewają w sobie naturę najpłochliwszych motyli.

Kolor biały jest barwą niestałych charakterów; kobiety ubierające się białą, są prawie wszystkie... *Horrendum!*...

Kolor różowy wybierają najchętniej kobiety liczące lat 25 i więcej; młode dziewczęta nie starsze nad 14 wiosen, bardzo rzadko lubią tę barwę; wolą one kolor ciemniejszy dlatego jedynie, iż nie mają jeszcze wyrobionego smaku i dlatego, że młodość niedoświadczona i bez zastanowienia widzi zawsze świat w fałszywym świetle. W ogóle kobiety przenoszące kolor różowy nad inne, są prawie wszystkie wesołe, sprytnie, bardzo miłe, zadowolone z życia, uprzejme w obejściu i nie posiadają cienia przykrego humoru, który tak niemile uderza w kobietach ubierających się ciemno.

Błękitny kolor jest barwą pięknych kobiet i dobrych, błękit lubi każdy wiek i każdemu wiekowi do twarzy. Kobiety noszące z upodobaniem ten kolor bywają po większej części łagodne i marzycielki, skłonne do zamysłania się.

Perłowy kolor jest barwą tych samych natur, gdy są smutne lub nieszczęśliwe.

Szary kolor jest barwą przejściową, zbliża się już do pocieszającego błękitu.

Kolor lila noszą kobiety, które niedgdy były pięknymi, lub zawsze niemi zostają; jest to emerytura kobiet, usuwających się z widowni świata.

Matki w dzień ślubu swoich córek najczęściej wkładają suknie lila, a 40 letnie damy stroją się w ten kolor, oddając wizyty.

Nie chcę się sprzeczać z autorem „Fizyologii małżeństwa“, ale z własnego wiem doświadczenia, że dzisiejsze kobiety najczęściej lubią—zmieniać barwy; proszę tego nie brać za złośliwy dwuznacznik.

Zresztą, dajmy pokój kwestyi, którą prof. Struve opracował i rozebrał w sporym tomie, jako zajmujące studium pod tytułem: „Estetyka barw“, a w którym piękne czytelniczki znajdą również dla siebie zajmujący rozdział.

Warto przeczytać, łaskawe panie.

Co prawda, zachęcać kogoś do czytania poważnych studyów w tym czasie, kiedy słowiki miewają prelekcye na zielonych i okwieconych katedrach, a cała natura wyklada experimentalną estetykę w polach, ogrodach i lasach, to znaczy nie znać chyba natury ludzkiej w ogóle a Warszawianek w szczególności.

Ja też nie zwracam się z zachętą do czytania ku miejskim paniom, ale tam po dworach, dworakach, na willegiaturze, na wakacjach, na kuracji u wód i w kąpielach, książka i dziennik powinny być koniecznym towarzystwem

Wybór jest duży, ruch wydawniczy powolutku znowu ożywiać się zaczyna byle tylko znalazł poparcie i zachętę.

Miał słuszną Kraszewski, kiedy ręk opuszczać nie radził, ufności tracić nie pozwalał i przepowiadał, że złe minąć musi, a najgorzejby było zwątpić o tem, iż lepiej być może.

Sędziwy senior naszych pisarzy bawi obecnie w Szwajcaryi, a Niemcy znęcając się dalej rozesłali listy gończe za nim, jak za zbiegiem.

dlatego, że nie chciał po śmierci wracać w forteczne mury magdeburckiego więzienia.

Świadectw lekarskich nie uwzględniono, słabości, wieku starca w ósmej dziesiątce lat nie wzięto na uwagę, nie oszczędzono mu dotkliwego cięcia, a w listach gończych uważano za stosowne przemilczeć o tem, że więźnia wypuszczono na urlop za kaucyją, która może powiększy teraz „gadzinowy fundusz“ prassy berlińskiej, szczującej na Polaków bezustannie.

Większa jest łaska Boska, niż zawziętość ludzka!—powiadano dawniej, i obecnie słowa te same przychodzą na usta.

Najważniejszymi wypadkami bieżącej chwili są examina szkolne, zgromadzenia walne rozmaitych towarzystw i instytucyj, popisy i wystawy.

Załużę niewymownie, że się nie znam do tego stopnia na robotach kobiecych, szyciu, cerowaniu, haftowaniu, dzierganiu, krawiecczyźnie etc. etc. abym mógł wydać sprawiedliwe i kompetentne zdanie o wystawie robót w zakładzie pracy kobiet utrzymywanym staraniem i kosztem Cecylii hrabianki Zyberk-Platerówny.

Jestem profanem w tym zakresie, ale dziwiłem się, jakby znawca, patrząc na owoce tej nauki, która igtę i szydelko zamienia na jakieś narzędzie sztuki w rękach dziewczątek kilkanastoletnich.

Przypuszczam, że czytelniczki moje oddawna znają adres tego zakładu i że przypominać im nie potrzebuję obowiązku popierania instytucji kobiecej pracy, w którym niejednym przedmiotem toalety, bielizny, użyteczności gospodarskiej znaleźć mogą starannie i pięknie wykończony, a stosunkowo za przystępną cenę.

Patrząc na tę ciekawą wystawę, przypomniałem sobie czytany niedawno artykuł w jednym z pism berlińskich o losie tamtejszych pracownic igły i wynagrodzeniu szwaczek, rękawiczniczek, hafciarek i t. p. W stolicy moźnych Niemiec, nieszczęsne te istoty są istnemi niewolnicami swego zawodu, a uwierzyć się nie chce, aby pracę znużną wynagradzano tak lichy: za 6--8 marek miesięcznie, całymi dniami ślęczyć tam muszą dziewczęta nad robotą krawatów, lub rękawiczek.

Dzienniki przestrzegają poprostu przed poświęcaniem się drobnem uprzemysłowi kobiecemu, który z prowincyi zwabia złudną nadzieją zarobku setki nieszczęśliwych istot, szukających na bruku stolicy kawałka chleba.

Zawiedziona, znajdują go też często, ale nie z uczciwej pracy, podnoszą go z błota, w które z pracowni swych chlebobawców ustępować muszą, nie chcąc mrzeć z głodu i wysiłku.

Korzystajmyż z cudzego doświadczenia, popierajmy zakłady, stwarzajmy warunki, któreby wyzyskiwaniu pracy kobiecej u na tamę stawiały, otaczajmy opieką instytucje, uczące pracować jak najlepiej i mające na celu wynagradzać tę pracę należycie...

Ze sprawozdań dziennikarskich o ruchu rozmaitych naszych towarzystw, zwróciło moją uwagę jedno szczególnie; było to sprawozdanie z miesięcznej sessyi Towarzystwa opieki nad zwierzętami, z którego dowiedziałem się nieładnych rzeczy i nieprzyjemnych dużo.

Oto w ciągu lat dwóch z tysiąca kilkuset członków pozostało zaledwie trzystu, a pięciu członków zarządu złożyło swoje mandaty i wykreśliło się z towarzystwa.

Walne zgromadzenie nieszczęśliwie wydało sobie świadectwo troskliwości o zwierzęta, któremi ma się opiekować, odmówiwszy p. Kotłubajowi, członkowi zarządu, marnych 100 rs. na podróż do Paryża, w celu obznajomienia się u Pasteur'a z metodą szczepienia wścieklizny.

Zarząd chcąc naprawić ten... ten... ten fakt, skorzystał z przysługujących mu praw w regulaminie objętych i postanowił 100 rs. wyasygnować panu K., który tymczasem własnym kosztem wyjechał do Paryża.

I to się nie udało; p. Kotłubaj rzekł się drogą telegraficzną zapomogiz takim trudem wymuszanej od towarzystwa, i postanowił po powro-

cie do Warszawy założyć instytut szczepienia wścieklizny na własną rękę.

We Francyi milion franków złożono na ten cel; a u nas 100 rs. załużają...

Przy pisaniu ostatniej pogawędki nasza mnie wiadomość o śmierci pisarza, który przed czterdziestu laty intrygował całe czytelnictwo ów swem i krytyką swojemi utworami, talentem, osobistością i pseudonymem.

Był niby kobietą, ale pióro miał nie kobiece, talent oryginalny, śmiały, inteligencyą żywą, wykształcenie niepospolite; powieści sypał z gorączkową jakąś płodnością, jak z rogu obfitości, a podpisywał się... Eleonora.

Pokazało się potem, że był mężczyzną, że Eleonorę miał żonę, a sam nazywał się Ludwikiem i że pod jej imieniem a pod swoim nazwiskiem puszczał w świat swoje utwory; pod wpływem fantastyki i oryginała A. Hoffmana, niemieckiego pisarza, jedyne może w swoim rodzaju, który umiał w jakimś magicznym, jaskrawem oświetleniu lub w tajemniczych mrokach przedstawiać świat i stosunki ludzkie, Sztyrmer utworzył cały szereg powieści p. t. „Pantofel, historia mego kuzyna“, „Frenofagiusz i Frenolesty“, „Dusza w suchotach“, „Kataleptyk“, „Światła i cienie“, „Pamiętnik oryginalnie wychowanej kobiety“ i wiele innych.

Poruszał najzawilsze kwestye, analizował dziwadła umysłów i charakterów, jak patalog duszy ludzkiej, rozbierał jej choroby rozmaite z sardonocznym uśmiechem na ustach lub z filozoficznym sceptycyzmem.

Psycholog i artysta niepospolity zajmował inteligentnych czytelników; niestety, przeżyć musiał swoje utwory, swoje sławę i popularność; umarł w czasach, kiedy nowe pokolenia nad trumną sędziwego starca pytać musiało:

— Sztyrmer?... co to za jeden?...

A jednak znać go i pamiętać należało.

Quis.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Protestowali przeciwko temu inni, bo chwila była uroczysta a stanowcza, w której przychodziło do ostatecznej rozprawy z rebelią, nad wszelką miarę rozuchwaloną. Xiężki milczał, ale wąsa zakęsywał.

— Zobaczmy!

Po małym spoczynku w Krasnymstawie naza-jutrz już król dalej ku Sokalowi, a królowa z powrotem do Warszawy udać się miała. Ranek był majowy, dosyć pogodny choć niezbyt ciepły. Mimowoli może się jakoś wielce uroczyscie to rozstanie zgotowało. Cały orszak Maryi Ludwiki, panie i panny, zawczasu już płaczące, rozżalone wystąpiły. Mało która też tam nie miała albo miłego sercu lub brata, męża, powinowatego, który szedł na bój, zapowiadający się krwawo. Przed zamkiem i po sieniach stały parami serca, którym rozstanie przychodziło boleściwie. Mężczyźni wesołemi się starali okazać, ale niewiasty męztwa nie udawały, krom królowej może, która je do końca zachowała.

Dla króla stał na ten dzień jego najlepszy i najulubienszy wierzchowiec tarantowaty przygotowany z siodłem i kapą paradną. Dla innych też, gdyby w dzień popisu konie były najpokazniejsze i rzędy najkosztowniejsze zgotowane. Służba cała w barwach nowych, chorągwie z pokrowców wydobyte w powietrzu powiewały. Kopyjnicy na pół dnia przynajmniej pobrali swe

proporce do rąk, które im nad głowami szumiały, jako las...

Na przedzie stojąca królewska chorągiew usarska, przy której Jan Kazimierz jechać miał, nad wszystkiemi celowała, bo to był dobór ludzi, koni i uzbrojenia ze skrzydły, z szyszakami złocionemi, z koncerzami sadzonemi w klejnoty, z tarczami złocionemi i malowanemi, który oczy porrywał, aż żal brał myśląc, że się ten kwiat rycerstwa miał z ladajakiem chłopstwem opilem potykać i przeciwko niemu ważyć życie.

Ale patrząc na nich, nie mógł nikt ani na chwilę powątpiewać, że gdzie taki oddział rzuci się całą siłą, tam tysiące przed nim pierzchać będą musiały.

Wyszli tedy księża z błogosławieństwem, relikwiami, święconą wodą, wyszedł król we zbroi, szyszak tylko dawszy paziowi do niesienia, i królowa w podróżnych szatach... Pożegnanie było krótkie, ale serdeczne. Król zaraz skinął, aby mu szyszak podano i dosiadł taranta, ale w orszaku Maryi Ludwiki taki się płacz rozległ i szlochanie, że niejednemu niepotrzebnie to serce zmiękczyło.

Poczęto walać zaraz:

— Na koń! na koń! — a król przed chorągwią stanąwszy, do pochodu znak dał, sklonił się raz jeszcze żonie, która białą chustką powiewała i przy dźwięku muzyki wyruszył przodem.

Siadły też panie do kolebek przygotowanych, czeladź na konie i Zamek Krasnostawski zaroził się już tylko ostatkiem obozu, szarym jego ogonem.

Gdy się to działo, pani podkanclerzyna też na zamku była przytomną dla pożegnania królowej, która ją bardzo krótko i zimno przyjąwszy, odprawiła. Radziejowski zaś konno jeszcze za miasto Maryą Ludwikę w kilka koni odprawił.

Wielu się może z kobietami rozstawało smutnie—to pewna, ale dla wielu starszych ciężar spadł z niemi z ramion, bo dwór królowej w pochodzie był niemalem brzemieniem.

Sam Jan Kazimierz czuł to najlepiej.

U drzwiczek kolebki królowej jadąc, podkanclerzy miał sposobność jeszcze ją zapewnić, że pozostaje tu na straży, jako jej wierny sługa i woli wykonawca. Wzdychał przewidując, że obowiązek ten pewnie latwym do spełnienia nie będzie, lecz ręczył za swą gorliwość.

Kolebka też pani podkanclerzyny, która wytwornością swą i zaprzęgiem nie ustępowała t. j., jaką jechała królowa, ruszyła razem z wozami króla i dworu, w dalszą ku Sokalowi drogę. Była ona jedyną pozostałością z licznego niewieściego orszaku.

Radziejowska jechała sama, ze sługą tylko, pogrążona w myślach, bo nie wiedziała, czy się miała cieszyć, czy niepokoić powolnością mężowską, — i projektem towarzyszenia mu do Kryłowa.

Zdawało się jakby naostatek pozbył się swej zazdrości, podejrzeń i wracał do lepszych dla niej sentymentów, ale mogła rachować na niego, znając już przewrotność i obłudę?

Wojsko posuwało się dalej powolnym bardzo chodem, a los tak chciał, że pierwszy ten dzień nie miał przejść bez tragicznego wypadku.

Chorągiew właśnie lasem ściągnęła, gdy bystre oko króla dostrzegło zdaleka siedzącego nad drogą, niby żebraka, człowieka dziwacznie odzianego, odartego po części w losim kolecie niemieckiego kroju, mocno zszarzanym...

Przy królu oprócz innych, jechał przywołany przez niego wypadkiem od swej chorągwi Strzębosz, bo go Jan Kazimierz rozpytać chciał o nią.

Król wskazał na niego.

— Dałbym gardło — odezwał się — że to jest szpieg... patrzy z podoba, a z postawy i z odzieży na tubyleca nie wygląda... Podejrzana to figura.

Strzębosz nawet się zaofiarował po niego, bo król przystanął, a tuż i Jaskulski nadbiegł i kilku innych, którzy dosłyszeli słowa króla.

Skoczyli więc ku żebrakowi, który postrzegłszy, że się do niego mają, zrazu umykać chciał,

ale wnet się rozmyślił, bo uciec nie było sposobu. Strzębosz pierwszy dobiegł, wołając:

— Stój? ktoś ty? co za jeden?

Dopiero teraz mu się mogli przypatrzeć, a twarz, w której wszystkie mięśnie drgały, opalona po marszczona, wejrzenie lisie, już go więcej niż podejrzany czyniły.

Otoczyli go wojskowi.

— Żołnierz jestem — wybąknął — co ma być: żołnierz z regimentu niemieckiego, co tu stoi w pobliżu.

— Cóż tu robisz?

— Wyszedłem na słońce, bo mnie trzęsie febra.

Jaskulski tedy popatrzywszy nań, gdy się zmieształ, batożkiem go po plecach i krzyknął:

— Łżesz...

Wtem król począł dawać znaki, aby mu go przyprowadzono. Pędzono więc gdzie stał na koniu, oczekując Jan Kazimierz, ale nim doszedł, zupełnie się strwożył i rękami począł chwytac powietrze, jakby padał.

Postawili go przed królem. Znowu tedy pytania.

Nie śmiał już kłamać, że z regimentu żołnierzem jest, ale bąkał, że żebrak, ubogi, że tu w sąsiedztwie przytułek miał, że człowiek niewinny. I jak stał tak na kolana padł przed królem, ręce złożył i miłosierdzia prosić zaczął.

Wszystkich to uderzało, że gdyby istotnie żebrakiem był, do niczego się nie czuł, toby strachu takiego nie miał. Przytem fizys okrutnie podła, podejrzenie budziła.

Król ręką bijąc po siodle do Jaskulskiego począł wołać:

— To szpieg jest... ja to czuję... każ go wmość wziąć na spytki... zobaczycie...

Ledwo to król rzekł, a tu go już pod ręce pochwycili, pod las z nim się niosąc, pacholkiwie pisarza; nieznajomy krzyczał w niebogłoso.

— Czego wy chcecie odemnie? człowiek niewinny jestem.

Król, na koniu stojąc czekał, aż zdala rozległo się wołanie i krzyk i nie trwało dłużej nad dwa pacierze, aż przywlecono go nazad przed króla jmości.

Jaskulski jechał przodem i wołał:

— Przyznał się, że szpiegiem jest, od Chmiela wysłany.

— Dawaj go tu — rzekł król.

Przywlekli go, bo już iść albo nie mógł, albo nie chciał, tak skruszonego, że w nim ledwie się dusza kołatała. Mówił dosyć niewyraźnie i płątał się, ale ci, co bliżej szli królowi to podnosili.

Okazało się najpierw, że zbiegiem był od wojska zaciągnętego, ale, że jeszcze za króla Władysława IV uciekł i tułał się, a może i rozbijał.

— Kto cię posłał? — pytał król.

— Kozacki hetman mnie posłał — począł pochwycony — i obiecał mi nagrodę za to tylko, abym na oczy króla widział i doniósł jemu, że on sam przy wojsku się znajduje.

— Aha! widzicie — rzekł król, tryumfując — otóż go macie! Zdradził mi się tym łosiowym koletem, który ze sobą z wojska wyniósł, boby mi inaczej nie wpadł w oczy.

Kazał król pytać o kozactwo: gdzie on je porzucił, ile ich było, i czy orda z niem szła, a jaką liczbą; ale niewiele się z niego dowiedzieć mogli dla trwogi, bo mu się język plątał. Wiedziało, co go czekało, bo oprawca z pacholkami już stał i postronki gotowe były, aby go zaraz na najbliższej sośnie obwiesić...

Król prośb ani chciał słuchać.

— Czas wojenny — rzekł — szpiega wypuścić, znaczy samemu na siebie bicz ukreślić, a wlec go za sobą w pętach, to ciężar próżny.

Tyle tylko, że mu król kapelana posłał, aby go wypowiadał. Wojsko się tymczasem ruszyło dalej i chorągiew królewska niedaleko odeszła, gdy łotr już na gałęzi dyndał.

Więc wszyscy to za bardzo dobry omen brali, szczególnie się dziwiąc temu trafnemu wejrzeniu króla, boć go widziało pułków i ludzi wielu przeciągając, a nikt ani pomyślał, ażeby szpiegiem mógł być.

Przypominali drudzy, czemu dawniej wierzyli

nikt nie chciał, a co się prawdą okazywało codzień większą, iż ów kozaczysko prosty, Chmiel, politykiem był lepszym od wielu najzawołanych statystów, a informacje zewsząd miał tak do kładne; że co na pokojach królewskich się mówiło, co w radzie wojennej, co w tajemnym gabinecie króla, on o tem wszystkiem był najdokładniej uwiadomiony.

Poczęści się to tem tłumaczyć dawało, że w służbie panów, niemal wszystkich, Rusinów z Kozakami blisko spowinowaconych i wiarą i językiem było bardzo wielu, a niektórzy z nich, cierpiąc upokorzenia i obejście się panów surowe radzi się mścili i służyli bodaj Chmielowi.

Z tej garści Kozaków, co wierna pozostała przy księciu Jeremim i innych, niemal codziennie kogoś zbrakło; zniknął, jak kamfora, a innych pilnować musiano, nienfajac już im, choć się poprzysięgali, że wiernymi zostaną.

Do Sokala tedy ciągnął wprost Jan Kazimierz, przykładem swoim budując starych nawet żołnierzy, tak czujnym był, niezmordowanym, zapobiegającym, aby wszystko w porządku się odbywało, aby nikt excessu żadnego po drodze nie popełnił, za co otrąbiono po pułkach, iż doraźnym sądem król karać każe.

Przytem pobożność wielka zachowaną była; msze zrana pod namiotami odsłoniętymi tak, że ich dokoła stojący słuchać mogli, w ciągnięciu zaś zwykle od Bogarodzicy poczynano, a potem różne pieśni pobożne księża intonowali, których przy wojsku nigdy tylu, co teraz nie było.

A, przykładem ks. Lisickiego, który pod Zborowem zginął, później też duchowienstwo, gdy szło o spełnianie obowiązków, ani kul, ani strzał się tatarskich nie obawiało i szło na nie mężnie.

Króla ci, co, jak Strzębosz, dawniej go znali i widywali — naprawdę teraz poznać nie mogli. Dyżma przed wujem, gdy o tem mówił, co bywało, a co jest, śmiał się poswojemu Xięzki.

— Ja to też admiruję, mój kochany — odpowiadał — ale sztuka wytrwać do końca. Bo że ludzie dworskiej edukacyi wszystko z siebie uczynić mogą, co zechcą, to wiadoma rzecz, ale co nie płynie z serca, a jest tylko pańszczyzną z musu, niewiele warto.

Już temu się było można dziwować, że król z sobą dla rozrywki nikogo z tych nie wzięł, którymi się zwykł był otaczać; zabawy i wesołości nie szukał — a pracował nie spoczywając.

Można miarkować łatwo, jak to wielce wychwalane postępowanie królewskie podkanclerzemu się nie podobało, lecz nie było mu co zarzucić. Śmiał się więc Radziejowski z samej tej surowości, znajdując, że król z wojskiem, jak bakałarż ze studentami obchodził się, nie jak wódz z rycerstwem. Każde jego słowo wyszydzało... króla zaś napróżno namawiał, aby sobie i drugim folgował.

O panią podkanclerzynę, chociaż król wiedział, iż jechała, wcale się nie dowiadywał, ani starał się ją widzieć. Radziejowski napomykał mu; nie odpowiadał. Dopiero drugiego dnia się tak trafiło, że Jan Kazimierz zatrzymał się około wsi, przez którą wojsko przeciągało, a z kolei kolebka też podkanclerzyny się ukazała, w której ona z ochmistrzą, kobietą niemłodą, jechała.

Król z konia zsiadłszy, u samej bramy prawie z kilku swoimi rozmawiał, ale Radziejowskiego w bliskości nie było. Nie wahał się, ujrawszy podkanclerzynę, przystąpić do kolebki i przywitać.

— Nie zlekniecie się widzę ani Tatarów, którzy nas straszą, ani niewygód podróży — odezwał się — zostaliście z nami wiernie. Ale — szepnął ciszej — cóż mąż na to?

— Sam życzył sobie, abym mu do Sokala i Kryłowa towarzyszyła — rzekła Radziejowka — zastosowałam się do woli jego.

Spuściła oczy i bardzo cicho szepnęła:

— Jak się to skończy? zaprawdę nie wiem.

— Chociaż miło mi was tu widzieć — rzekł król — ale naprawdę wołałbym był dla spokoju waszego powrót do Warszawy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, w Czerweu 1886 r.

Jak zwykle w tej porze roku, w teatrach paryżkich ustało nagle życie. Jedne z nich, jak Odeon, Rozmaitości, Gymnase, Renaissance, nie licząc już pomniejszych, zawiesiły przedstawienia swoje do jesieni; inne znów, jak Teatr Francuzki, Porte St. Martin, Vaudeville, karmią się starym repertoarem i wznawiają zapomniane od dawna sztuki. Rok ubiegły wogólności niewielkie przyniósł plony. Oprócz *Jakobitów Coppégo*, *Chamillac'a Oktawia Feuillet* i kilku jednoaktowych sztuczek np. *Sokrates i Xantypa*, Banville'a, nie pojawiło się na scenie nic godnego uwagi. Nie brak tu przecież autorów dramatycznych; w samej Akademii Francuzkiej zasiada ich dziesięciu, i to pierwszorzędnym jak Dumas, Augier, Sardou, Labiche, Doucet, Legouvé, Coppé, Feuillet, Halevy, Pailleron; ale wyczerpały się źródła natchnień, nadużyto sprężyn scenicznych i efektów, w tym kierunku iść dalej nie podobna.

Przyznają to sami krytycy francuzcy. W tych dniach właśnie wyszło z druku dzieło p. Barthélemy, p. t. *Historja komedyi we Francyi*; autor pokazuje w jaki sposób rozwijała się tu sztuka dramatyczna w paśmie wieków. Określa twórczy geniusz Molière'a, pokazuje następnie wpływy, to hiszpańskiego, to włoskiego, to angielskiego teatru, którym ulegała sztuka francuzka, nie tracąc jednak samodzielności swojej. Nakoniec przychodzi krytyk do czasów dzisiejszych; uznaje, że nadeszła chwila stagnacyi, że pisarze dramatyczni, wyczerpawszy sceniczne efekta, szukają nowych form, stawiają rusztowania, kreślą plany — słowem: gotują się do budowy nowego gmachu. Gmach ten stanie i będzie znów podziwem dla świata; krytyk nie wątpi ani na chwilę o tem.

Wbrew głoszonej zasadzie: *Sztuka dla sztuki* p. Barthélemy odważnie stawia inną: „Komedia, mówi on, nie powinna wyłącznie tylko bawić. Można być poważnym a nie rozsiewać nudów. Prawdziwym zadaniem teatru, nauczać i krzewić zdrowe zasady w sposób, oile można, zajmujący.

„Zabawa dobra tylko dla bardzo młodych lub dziecinnych od starości społeczeństw; pełne życia społeczeństwo potrzebuje silnego pokarmu. Wpada więc zaspokoic gwałtowne pragnienie wiedzy dzisiejszej publiczności, ale zarazem oddalać źródła zatrute, które ubezwładniają inteligencyą i w chorobliwy stan wprowadzają umysł.

„Odrzućmy więc owe złowrogie typy behawerskich zbrodniarzy, których tyle na scenę wprowadzono; odrzućmy deklamatorstwo tak zużyte od epoki klasycznego Agamemnona, aż do czasów obecnych. Szukajmy oryginalności, ale w prawdziwie, nie mieszajmy grubego realizmu z rzeczywistością, nadużycia z prawdziwą siłą. Trzymajmy się tradycyi genialnego Molière'a, który był wielkim, bo był szczerym, bo nie zszedł nigdy z drogi prawdy: a komedia powstanie z niemocy i zaświadczy wobec ludów o żywotności geniuszu francuzkiego.

„Upadek teatru zarzucano nieraz krytyce współczesnej — dodaje w końcu Barthélemy. — Jest wtem poniekąd prawda. Krytyka zarówno grzeszy zbyt niemię pobłażaniem, jak zbytnią surowością. Sztuka potrzebuje zachęty. Poczynający autor łatwo się zraża, i składa pióro, niedowierzając siłom własnym. Z całą surowością należy chłostać mistrzów, kiedy ci schodzą na bezdroża i wprowadzają w obłąd zarówno publiczność, jak i młodych niedoświadczonych pisarzy, — gorszących bądźcobadź za rozgłosem.“

Zubożenie sceny paryżkiej nie uszło bacznego oka Niemców. Najpierwszy krytyk berliński Paweł Lindau zwiedził Paryż w ciągu tej zimy i z widocznym zadowoleniem, w przeglądzie swoim *Północ i Południe* zaznacza smutny stan teatru francuzkiego.

„Sztuka dramatyczna, mówi on, zstąpiła z wozu, jakie tu niedawno zajmowała. Pierwszy z autorów Emil Augier przestał zupełnie pisać. Dumas pisze mało, wystawia jedną komedię co lat kilka, a ostatnie utwory jego jak „Dyonizja“ i „Księżna Bagdadu“, nie wytrzymają porównania z dawnymi. Sardou pracuje wiele, ale w utworach jego widoczne wyczerpanie. *Teodora* nie ma żadnej wartości literackiej; podtrzymywała ją tylko świetna wystawa i gra Sary Bernhardt. *Georgette* przyjęta chłodno, prędko ustąpiła z afisza.

Niemniej surowo niemiecki krytyk wyraża się o artystach dramatycznych. Dawni, zdaniem jego, postarzeli, młodym brak zupełnie talentu. Zpomiedzy tych wylicza najzdolniejszych i wszystkim przypisuje rodowód niemiecki. Wyszledził on, że matka Sary Bernhardt źle mówi po francuzku i używa zwykle niemieckiego języka, jako urodzona we Frankfurcie. Nowa gwiazda, która zabłysła w „Jakobitach“, pełna talentu panna *Wefer*, ma także być Niemką, z Austrii. Pierwszy artysta Teatru Francuzkiego Worms, młoda aktorka panna *Muller*, starsza od niej panna *Reichenberg*, również pochodzić muszą z rodu niemieckiego, jak świadczą ich nazwiska. Dwóch nawet polskich śpiewaków, braci *Reszke*, zaliczył krytyk do Niemców, jakoby pochodzących z rodziny *Reschtre*.

Wierny odwiecznej tradycji, krytyk nie przypuszcza, aby cośkolwiek błyszczeć mogło poza obrębem niemieckiego plemienia. Zaborczy germanizm radby wszystko pochłoniąć: dziś odbiera nam braci *Reszke*, jak niegdyś usiłował odebrać *Kopernika*.

Lindau za czasów Cesarstwa częstym bywał gościem w Paryżu, przyjeżdżał tu raz poraz dla układów z autorami o tłumaczenie sztuk teatralnych. Zawiązał liczne stosunki; lubił Paryż, na bulwarach czuł się w domu, jak *Pod Lipami* w Berlinie. Po wojnie wszystko inną przybrało postać. Kiedy po raz pierwszy odwiedził Paryż, cuchnący jeszcze zgorzelizną, uczył lodowaty chłód wkoło siebie i stracił całkiem fantazję; skarży się na tę zmianę. „Dawni przyjaciele, mówi on, którzy niegdyś witali mnie tak serdecznie, odwracali głowy, aby nie oddać mi ukłonu. Ci, którzy mnie poznali, nie wiedzieli co mówić ze mną; czułem, że między nami stoi twarda za pora. A ponieważ, przy najlepszej woli, nie mogłem przeproszać ich za politykę *Bismarcka*, za rządzą cesarza *Wilhelma* i za plany *Moltkego*, usunąłem się więc od Francuzów, stałem się dla nich obcym i żyłem wyłącznie z Niemcami.”

W tym roku *Paweł Lindau* bawił znów w Paryżu czas jakiś. Mimo, że przebieg lat piętnastu uspokoił umysł, dawny urok pierzchnął bezpowrotnie. Odbija się to widocznie w sądach krytyka berlińskiego o teatrze; pokazując bowiem same ujemne strony, przemilczał całkiem o dodatnich. Nie wspominał nawet o *Jakobitach Coppégo*, wspomniał dramacie, na jaki nie zdobył się w tych czasach żaden autor niemiecki, przemilczał również o *Chamillac'u Feuilleta*. W takim opuszczeniu trudno nie dopatrzeć złej woli.

Zpomiedzy autorów jednego tylko *Emila Augiera* wspomina *Lindau* życzliwie. — „Mój stary przyjaciel, mówi on, najsympatyczniejszy dla mnie ze wszystkich pisarzy francuzkich, przyjął mnie w otwarte objęcia. Odwiedzałem go, jak mogłem najczęściej. Augier to nieodrodnym Francuz, ale nie ma przesądów i rozumie, że Niemiec powinien być dobrym Niemcem. Pytałem go czemu taki mistrz, jak on, przestał nagle pisać, po świetnym przedstawieniu, *Rodziny Fourchambault*?”

— Mój drogi — odpowiedział Augier — wiem z doświadczenia, że autor nie zatrzymuje się nigdy w porę; jeden rzuca pióro zawczasie, drugi zapóźno. Ja zatrzymałem się zawczasie, powiem, ci co mnie do tego skłoniło. Przed laty wielu, gdy imię moje pierwszy zdobyło rozgłos, powołany przez Dyrektora Teatru, poszedłem do niego; rozmawialiśmy w gabinecie. Po chwili służący wszedł, podał panu swemu kartę wizytową. Dyrektor przeczytał ją; zmarszczył brwi, porzucił na stół kartę. — „Powiedz mu, że przy-

jąc go nie mogę — zawoła zniecierpliwiony — niechże mi raz da pokój, ten stary nudziarz.”

Rzuciłem okiem na kartę, błysło mi imię *Eugeniusza Scribego*. Także-to przyjmowano pierwszego mistrza sztuki dramatycznej! — człowieka, który w tym wieku największe odbierał tryumfy! Wówczas-to poprzysiągłem sobie, że mnie los podobny nie spotka... i dlatego tak wczesnie ukończyłem mój zawód!

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Wiedeń i Peszt w Maju 1886 r.

Uroczystości w Praterze — Noc letnia w Peszcie. — Akcja ratunkowa dla pogoźlców galicyjskich. — Wystawy sztuk pięknych.

? Zawsze to robi miłe, lubo czasami, jak dla kogo, z łagodnym smutkiem pomieszane wrażenie, jeżeli się widzi ludzi szczęśliwych, ludy szczęśliwe. Maj tegoroczny nastrecał takie widowisko w Peszcie i w Wiedniu. Pierwsza połowa Maja dokuczyla takim mrozem i słotą, że kiedy naraz, nie wiosna, ale lato, nastąpiło, trudno się było zorientować i ogarnęła ludzi jakiegoś pragnienia czegoś nadzwyczajnego, jakaś żądza powetowania sobie braku wiosny. Długo oczekiwane słońce i kwiaty trzeba było uczcić i nacieszyć się niemi, a zaczerpnąć świeżego oddechu, gdy tak nagle ulice i bruki miasta zaczęły palić w skronie. Z usposobienia takiego umiano skorzystać, stworzono sposobność, żeby pragnienia zadowolnić, a na cele dobroczynne wielki zyskać dochód.

Tym sposobem stało się, że na porządku dziennym życia i ruchu w Maju stały, oprócz zwyczajnych wycieczek i regatty, jeszcze i nadzwyczajności, wielkie zabawy powszechne. I w Wiedniu i w Peszcie wyszedł pomysł od kobiet; one też sprawą kierowały czynnie i niestrudzenie, a w znamionach zabaw uwidoczniły się odmienne temperamenta i zwyczaje Wiednia i Pesztu, oile zabawy tego rodzaju wszędzie z konieczności wspólnych i jednakich cech nie mają.

W Wiedniu stanęła na czele księżna *Metternich*, która grała już za *Napoleona III-go* czynną rolę w Paryżu, jako żona ambasadora austriackiego, w uroczystościach dworskich i ludowych. Postanowiła ona na cele polikliniki, kolonii wakacyjnych i białego krzyża ratunkowego poruszyć milion ludzi i milion pieniędzy i powiodło jej się znakomicie. Ugrupowała mężczyzn i kobiety ze wszystkich sfer towarzyskich, potworzyła specjalne komiteta, rozdała role, zaangażowała wszystkie dzienniki, skombinowała wszelkie pomysły, uzyskała dla zabawy cały Prater, wszystkiego sama dopilnowała, we wszystkim sama brała udział. Nie była to honorowa patronessa, ale dyrektorka olbrzymiego przedsięwzięcia, na skalę, nie wiedeńską, nawet nie paryżką, ale raczej amerykańską, lubo według gustu i zwyczajów wiedeńskich.

Festyn ludowy zajął półtora dnia. W Sobotę od południa zaczęła się już wędrówka łądem i wodą, pieszo, końmi, wagonami i statkami do Prateru, gdzie znalazło się z górą 300,000 ludzi. Więc najpierw była uciecha wiosenna, uroczystość kwiatów. „*Blumencorso*“ Na przestrzeni prawie pół mili długości, wśród tłumów wesołych ugrupowanych po bokach defilowało kilka tysięcy ludzi, odświętnie, jasno ubranych, w powozach strojonych w kwiaty, zapelzionych kwiatami, a wśród publiczności ustawiono wzdłuż drogi kilkanaście kiosków z kwiatami. Wycięto całe ogrody, sprowadzono całe wagony kwiatów, z Włoch, bo cała publiczność obrzucała się kwiatami. Słynny komik *Girardi* zbierał tylko bukiety, które na drogę upadały, sprzedawał je znowu i za to znaleźne odstawił komitetowi 160 złr. Ten szczegół może objaśnić ochotę ludzi i naturę zabawy. Ale, bo też pod girlandami kwia-

tów znikali nieraz ludzie jadący w powozach, których było z górą 2,000. Klub jeden, 50 ludzi jechał grając na jednym wozie, niby w lesie ruchomym, a kilka kapeli przygrywało po ogrodach, wzdłuż drogi. Trwało to corso aż pod wieczór, potem rozlały się tłumy do rotundy wystawowej, która mieści naraz 40,000 ludzi, na łąki otaczające ją i między cieniste gaje. W tych miejscach urządzono przedstawienia i szermierkę dam, atletów etc.

Panie przedstawiały fortunę w bazarach loteryjnych, muzyki grały do tańca na murawie, szesnastu browarów urządziły schroniska dla głodnych i spragnionych, oprócz tego cukiernie, kawiarnie, mleczarnie, a wszędzie posiłki i napoje pod ścisłą kontrolą sanitarną i wszędzie stacje ratunkowe białego krzyża. Bo ludzie omdlewali od gorąca i ścisłu, ale wybryku i krądzieny prawie zupełnie nie było.

Uciechy te przeciągnęły się do późnego wieczora, a wtedy cały Prater zajaśniał od transparentów i dziesięciu tysięcy lampionów porozwieszanych, jak girlandy, lub niesionych na drążkach przez publiczność, która śpiewając wracała do domów. Wiedeń, który o ósmej godzinie wieczorem bywa już zupełnie cichym, roił się tego wieczora od tłumów. Nazajutrz powtórzyło się widowisko, ale przybyli goście, których zwoziły statki i pociągi kolejowe; wyruszyły przedmieścia, wyruszył cały lud, który tylko w niedzielę ma czas. Prater zapełniał się od szóstej godziny rano. Powtórzyły się rozrywki wczorajsze, ale przybyły i nowe: wiec wesela chłopskie, obóz cygański, słupy z nagrodami, chóry połączonych towarzystw w rotundzie — razem 1,400 śpiewaków, wycigi i popisy bicyklistów, powozów i doróżek, a nareszcie wieczór ognie sztuczne, apoteoza domu cesarskiego, miasta Wiednia, wybuch *Etny* i t. d.

Ze wszystkiego jednak bodaj najpiękniejszym był znowu powrót do domu niezliczonych tłumów śpiewających, wśród ogni kolorowych, wesołych och tak wesołych że się aż serce krajało... Dochód na cele dobroczynne wyniósł kilkadziesiąt tysięcy zł. reńs., a księżnę *Metternich* witano okrzykami, zasłużonemi. I mówią sobie ludzie w Wiedniu: Na nic się nie zda narzekać na złe czasy, na brak ruchu, trzeba ruch z siebie wydobyć, trzeba ożywić miasto, to wtedy cudzoziemcy będą liczniej przyjeżdżać. Jedno zasługuje na szczególną uwagę. Lud, tłum w Berlinie słynie, jako najdzikszy, najrozpuśtniejszy, tylko siła policji i wojska zdoła go powstrzymać od gwałtów, panuje tam pijaństwo i wszystko, co za tem idzie, burdy, bijatyki, kradzieże, szkłowania. Lud wiedeński jest zupełnie innym, nie jest wcale niemieckim. Lubi się bawić, nawet lekko myślnie, szalenie, ale zachowuje pewną miarę przyjemną, jest dobry, uprzejmy, łatwy. Wśród dwudniowej zabawy tłumów z górą pół miliona razem wynoszących, nie było ani jednej większej awantury, a policji prawie nie było, ledwo rzadki policjant wyłącznie do pilnowania, żeby kogo nieprzejechało. Prawda, że kopę całą znanych rzemieślników policja zatrzymała w doniach, ale tłumy zawsze same się rządziły i bawiły.

O kilka dni później miał Peszt zabawę wiosny, słońca i kwiatów, lecz, że tam już jest poniekąd południe i poniekąd wschód, więc była to zabawa nie dzienna, lecz nocna, a także pod gołym niebem. Peszt ma potemu wspaniałe miejsce i wspanialsze jeszcze dekoracje: Corso nad *Dunajem*, bulwar asfaltowany wyłącznie dla pieszych, kioski, kawiarni wśród drzew, na *Dunaju* ruch okrętów, a na drugim brzegu na górze *Pruda*, a to bliźnie miasto także do całości nocnej feryi należało. Pod wieczór dały hasło muzyki cygańskiej, tam niema innych, a chorągwie, girlandy, festony powiewały z wszystkich okien i balkonów domów otaczających corso i sąsiednie place, począwszy od posągu *Poetoefiego* do posągu *Szecheny'ego*. Wnet zaczęły na całej tej przestrzeni falować tłumy, jasno, nawet jaskrawo poubierane, zaczęła się gra rakiet i rozmaitych ogni sztucznych, a drugi brzeg zajaśniał od różnobarwnych pochodni. W Wiedniu przeważały kwiaty i piwo; tutaj muzyka i światło, wino i

ogień, a do tego potrzebna była noc. Niebawem podniosły się świetlane balony, a tłumy ożywiły się gronami masek charakterystycznych i domin, które niby na maskaradzie zimowej, tylko swobodniej i zręcznie, poczęły sięgać intrygami i znikać. I zrobił się nareszcie zupełny bal: asfaltowana sala pod sklepieniem niebieskim odgraniczono statkami i zaczęły się tańce. Więc przybyły patronesy: hrabina Karolyi, Andrassy, Csavolsky, i wypełniały urząd swój nie po wie-deńsku, z góry, z estrady. One były ponaszemu gospodyniami, gospodarowały i tańczyły i był czar-dasz i walc i kadył nimf dunajowych, a z okien szedł gęsty deszcz kwi tów. Była to istna noc czarodziej-ska, świat jakiś odmienny, szalejący wśród przepychu natury i sztuki, wśród drzew i wodotrysków, łuków tryumfalnych, powiewu chorągwi, śpiewów, muzyki, a światła mgicznego. Na Bloksbergu urządzono niby słońce dya-mentowe, od którego błyszczał Dunaj; tak, że po obu brzegach noc zupełnie ustąpiła przed weso-łością ludzką. A ta węgierska wesołość to ju nie ma granic i siły niewyczerpane; niema spoczynku dla muzyki ani dla nóg, a wina, chłodników, sorbe-tów wschodnich zużyto chyba całą rzekę. A prze-cież i tutaj, w nocy, tak się zarządzało, że po-licya ani się pojawiła, komitet wziął na siebie odpowiedzialność za porządek i bezpieczeństwo. To nocne święto nimf dunajowych, jak je na-zwano, przyniosło wielkie pieniądze na ochronki zostające pod opieką pań węgierskich. Obie te uroczystości były tem do siebie zupełnie podobne, że obie były obrazem zadowolenia, swobody. Można im zazdrościć, ale lepiej—pragnąć tego samego.

Festyn w Praterze, wyścigi i nagła zwrotni-ko-wa wiosna, te trzy okoliczności utrudniały wielce zorganizowaną również przez panie akcją ra-tunkową w Wiedniu dla naszych pogorzalców Stryja i Liska. „Komitet pomocy pań“ urzą-dził zbieranie składek pieniężnych, oraz odzieży, bielizny, obuwia i był skutek względnie świetny. Nadto osobny podkomitet w ciągu dwóch tygodni urządził międzynarodową wystawę szkiców i obrazów, które następnie przez cztery dni były aukcyowane. Malarze wystąpili wspaniale, Wę-grzy podarowali 24 obrazy; Polacy około 40, razem samych darów było 200. Aukcja była też niezwykłą, gdyż sale wystawy zamienione zostały w jeden salon, a w nim panie gospoda-rowały około bufetu. Godzi się wymiecić usłu-żne wielce około całej akcji ratunkowej: księ-żne Croy, Liechtenstein, Czartoryska, br. Bour-going, br. Koenigswarter, pana Dunajewska. A z darów nadesłanych: Brandta: Wesoły odpoczynek, Rybkowskiego: Wiosenne odgłosy, Szwojn-ickiego: Lisowczyki i portret Sienkiewicza, Ho-rowitza: Szabas, Ajdukiewicza: Scena ze Wschodu, księżniczki Czartoryskiej: czarnogonka, panny Massalskiej: krajobraz i t. d. i t. d. Nawet Niem-cy z Monachium i z Berlina przysłali nader cen-ne dary. Jednakże sprzedaż szła ciężko, pora spóźniona, zebrało się około 9,000 zlr., lecz cen-ne obrazy szły za mało. Więc komitet za-wiesił aukcję, odroczył ją aż na początek zimo-wego sezonu. Wtedy znowu z pomocą pań po-prawne wydanie obmyślane zostanie, bo jeszcze pozostało darów 65. Godzi się też wymienić, że wiele trudu i czasu sprawie tej poświęcił hr. L. Wodzicki, Rybkowski, Rauzoni krytyk, generał Berres (Polak, znany artysta), malarz, o którego dwa obrazy się dobijano. Hr. Zichy, prezes künst-lerhausu dał całemu przedsięwzięciu swoje imię i stosunki, dlatego też i dzienniki prawie wszyst-kie popierały je. Co słońce na teraz zepsuło, to może śnieg naprawi.

Wiosenna wystawa w Künstlerhausie przynio-sła jedną nowość, poraz pierwszy osobną wysta-wę klubu akwarelistów i pastelistów. Mnóstwo pięknych, wdzięcznych obrazów: Alt. Passini, Schoenn, Fischer Trentin, Greil, Michalek, Buss, Hrncir... to prawdziwi mistrze w *genre* i w kra-jobrazach. Wystawy takie specjalne są jednym z objawów niezadowolenia z wystaw ogólnych, licznych, na których publiczność gubi się wśród wrażeń i najlepsze nieraz okazy giną w tłumie. Zaczynają też malarze przyjmować systemat wy-stawiania nie inaczej prac swoich, tylko naraz

kilka, lub kilkanaście, gdyż tylko tym sposobem na pewno zwrócą na siebie uwagę i uwydatnić mogą swoje zalety. Istotnie wielkie międzyna-rodowe wystawy, o kilku tysiącach obrazów chybiają celu. Pewna tylko warstwa ludzi niemi się interesuje, zna pewną ilość najwybitniejszych obrazów, dzienniki uwagę publiczności zwracają, konkurencya pierwszych potęg artystycznych za-głusza talenta. Noszą się też i tutaj z tą myślą artyści polscy, żeby w kilku swojej własną urzą-dzić wystawę. Byłoby zaś nader pożądanem, gdyby się zajęto urządzeniem w Wiedniu, w Pe-szczce, w Paryżu, w Londynie, wyłącznej wystawy polskich malarzy. Byłby już czas, żeby sztuka polska, jako taka samodzielnie w świat wyruszy-ła. A mogłoby być jednym ze skutków, żeby też i cudzoziemcy przyjeżdżać zaczęli na naukę do Szkoły Krakowskiej, niemniej też i „kunsthänd-lerzy“, żeby raz zaczęli do Krakowa i Warszawy przyjeżdżać, podczas gdy dzisiaj nasi artyści, chcąc mieć kupców na swoje obrazy, muszą mie-szkać zagranicą.

Kronika działalności kobiecej.

— Zakład przemysłowo-rękodzielniczy hr. Cecylii Plater-Zyberg (ulica Piękna N. 24), urządził najpierw wystawę pracy uczennic swoich, trwa-jącą od dnia 22 do dnia 25 bieżącego miesiąca, w którym to dniu odbył się z kolei popis nauko-wych postępów uczennic, złączony z uroczystym aktem zamknięcia roku szkolnego. Czem zakład ten jest w zasadzie? Czytelnicy pisma naszego wiedzą z corocznie zamieszczanych sprawozdań jego działalności—Jest to wybornie pomyślana a uczciwie i starannie prowadzona szkoła prze-mysłowo-rękodzielnicza, dająca uczennicom swo-im wykształcenie stopnia średniego i zarazem obznajmująca je z najpotrzebniejszymi w rodzi-nie gałęziami pracy kobiecej, które i samotnej na chleb zarabiać potrzebującej, dają zawsze naj-pewniejszy i najłatwiejszy sposób zarobkowania. Zakład dzieli się na dwa oddziały.

Oddział I-y naukowy, „zasadniczo przygoto-wawczy“ obejmujący: klasę wstępną, klasę I-ą i II-gą, więc z kursem nauk trzyletnim, przyj-muje dziewczynki od lat dwunastu, przychodnie i pensyonarki. Obok nauki, kształcącej je za-sadniczo do życia, uczennice pobierają naukę robót praktycznych „każdej kobiecie niezbędnie potrzebnych“, jak określa bardzo słusznie pro-grammat zakładu, obejmując kobietę w jej naj-normalniejszym położeniu—w rodzinie, u ogni-ska domowego, gdzie kobieta wszelkiego stanu potrzebuje być gospodynią i domowej pracy, co najmniej zarządczynią. Owe roboty praktyczne są: szycie białe, znaczenie krzyżkami i haftem białym, cerowanie we wszystkich jego gałęziach na rozmaitego rodzaju tkaninach, roboty dru-towe, sporządzanie bielizny i odzieży, nakoniec rysunek techniczny, potrzebny dla wprawy ręki i oka przy robocie, jeżeli ma ona być dokładną i estetycznie poprawną.

Oddział II-gi fachowy, na który uczennice od-działu I-go przechodzą po jego ukończeniu, przyj-muje również osoby, chcące tylko kształcić się specjalnie w pewnych gałęziach, udzielanej tam pracy rękodzielniczej, a którą jest: szycie i krój bielizny, szycie i krój sukien, koronczarstwo, haft biały, haft złotem, oraz kolorowy arty-styczny, roboty włóczkowe, ręczne i deskowe. Kurs szycia i kroju tak bielizny, jak i sukien, oraz okryć nie może trwać krócej nad jeden rok szkolny, to jest przez miesiąc dziesięć. Kurs samej roboty sukien i okryć jest tylko trzymie-sięcny. Najdłużej trwa kurs nauki koronek, bo miesiąc 5. Nauka szewstwa i introligatorstwa wtedy tylko udzielane będą, skoro zapisze się komplet sześciu uczennic, czego dotąd niema i nie było.

Trzeba nam tu nadmienić, że szewstwo, oraz introligatorstwo, jako rzemiosła wręcz kobiece

nie znajdują obecnie dość chętnych uczennic. Praktyka wykazała, że praca ta nie odpowiada zwykłym siłom kobiecym i że kobieta tylko jako naczelniczka zakładu, nie zaś jako bezpośrednia robotnica, zajmować się tu może.

Uczennice miejscowych, z całkowitem utrzyma-niem w zakładzie—pensyonarek, było w roku u-biegłym 60; przychodnich 90—razem 150. Opłata pensyonarki za rok szkolny (10 miesięcy) jest rs. 200. Przychodnie uczennice oddziału I-go pła-cą miesięcznie rs. 3. Nauka kroju i szycia bielizny miesięcznie także rs. 3. dalej: nauka szycia i kro-ju sukien rs. 4, nauka haftu białego rs. 5, kolo-rowego rs. 6. Kurs wyłączny kroju bielizny rs. 9, kurs takiż kroju sukien i okryć rs. 24, kurs nauki koronek rs. 15, kurs robót włóczkowych tyleż.

Widzieliśmy na wystawie obok bardzo ładnie przedstawiających się w wykończeniu sukien i okrywek, zeszyty uczennic, przedstawiające w o-pisie i rysunku cały kurs nauki kroju, czy to bie-lizny, czy sukien, co przez każdą uczennicę, kurs kończącą, obowiązkowo wykonanem być musi. Pismo tych zeszytów było tak pod względem ka-ligraficznym, jak ortograficznym zadawalniające, język czysty, rysunki porządnie, poprawnie wy-konane. Wszystkie też szczegóły wystawy dopro-wadzały do przekonania, że uczennice zakładu od-bierają tam obok fachowego uzdolnienia w robo-tach kobiecych, przyzwoite wykształcenie nauko-we średniego stopnia.

Rok szkolny zakładu rozpoczyna się z dniem 1-ym Września, a kończy z d. 30 Czerwca, za-mykając się examinem i rozdaniem promocyi, oraz nagród. Uczennice na kursa specjalne fa-chowego oddziału mogą być przyjmowane w cią-gu roku; te które chcą wejść w ciąg roku do szkoły oddziału I-go, potrzebują zdać examin z nauk ubiegniętego już wykładu. Zapis odbywa się w Zakładzie od 15 Sierpnia do 1 Września, od 9-tej godziny rano do 12-ej w południe, dalej od 2-ej do 5-ej po południu, z wyjątkiem świąt i niedziel.

Uczennice tak przychodnie, jak pensyonarki, przechodzące trzyletni kurs szkoły oddziału I-go uczą się obok języków i rysunku, arytmetyki, geometrii, geografii i kaligrafii, które to lekcye zabierają pierwszą dnia połowę, poczynając od pół do dziewiątej rano, do trzeciej godzi-ny po południu (z pół godziną przerwą w po-ludnie dla wypoczynku i śniadania, które przy-chodnie z sobą przynoszą), resztę godzin dnia zajmuje im nauka robót praktycznych, których wyszczególnienie było wyżej. Uczennice oddziału fachowego rozpoczynają też prace swoje o pół do dziewiątej rano i kończą je o trzeciej po połu-dniu. Popis tak się rozpoczął, jak zakończył pięknym śpiewem choralnym pieśni religijnej.

Wśród okazów wystawy zaznaczały się pię-kne hafty złotem i kolorami, wykonane na białych jedwabnych apparatach kościelnych, da-lej zwracały uwagę kolejno się przedstawiają-ce okazy nauki cerowania, które na ostatnim szczeblu były w swoim rodzaju doskonałością. Nauka mozołnej tej roboty odbywa się na kan-wie i następnie przedstawiało ją niezmiernie mi-sternie wykończone zastosowanie na rozmaitego rodzaju tkaninach, aż do cerowania szali, jak to oglądać było można na przedstawionym okazie, a wiemy, że uzdolnienie się w takim kunsztow-nem sporządzaniu uszkodzonych przedmiotów drogich, może dać robotnicy przyzwoite utrzyma-nie i jest w dziale robót igłowych ceną specyjal-nością.

Obok bardzo gustownych okazów wytwornych robót: pięknych torebek, pudełek toaletowych i tym podobnych przedmiotów elegancyi, robót szydełkowych, drutowych i deskowych, czyli wią-zanych—obok koronek, których ładne okazy były jednak mniej liczne, niż w innych działach, zasłu-giwały na uwagę okazy nauki szycia, poczynają-ce się od bielizny z zupełnie grubego płótna, do cienkiej, haftem i koronkami ozdobionej. Grubą bieliznę, przeważnie dziecienną, wykonywały uc-zennice młodsze, co przecież wytwarza szkole specjalność bardzo pożądaną. Bardzo potrzebny jest w mieście naszym zakład mniej więcej grubej i prostej bielizny, szytej jednak uczciwie, z mate-

ryału trwałego—bielizny męskiej, kobiecej i dziecięcej. Są rodziny, w których i kobieta jest robotnicą, więc nie mogąca obszywać męża i dzieci, jest wiele sług niemających czasu szyć sobie, zarazem wiele panien pracujących w magazynach, wiele kwiaciarek i tem podobnie zajętych z dnia na dzień kobiet, które teraz zaopatrują się w bieliznę słabą, tandetnego wyrobu i dla których byłoby to korzyścią wielką, gdyby znajdowały wyrobów dobrych, sumiennie wykończonych.

Dziennik Łódzki już dwukrotnie sprawę tę podnosił — podnosił ją od dawna i niejednokrotnie pismo nasze, dając za przykład Stowarzyszenie Poznańskie Pań, które, stanawszy do walki z lichymi sklepami ludowej odzieży i bielizny, zwyciężyły je i przysłużyły się społeczeństwu pracownią przedsiębiorczą swoją. Gruba bielizna dziecięca w zakładzie hr. Plater-Zyberg, która jest tam na sprzedaż, powinna znajdować zawsze chętnych nabywców.

Ponieważ z nowym rokiem szkolnym, który rozpoczyna się z d. 1 Września, otworzy się przy Zakładzie, pracownia sukien i pracownia bielizny, przyjmująca zamówienia z miasta, a w której nabywać będą potrzebnej wprawy młode praktykantki szkoły, możeby skład takiej bielizny prostej z perkalu i grubszego płótna, mógł istnieć z powodzeniem, odejmując w części chociaż mniej uczciwym handlarzom możność wyzyskiwania najmniej zamożne klasy ludności.

Do wielkich zalet Zakładu przy ulicy Pięknej zaliczyć trzeba metodę, wedle której nauka robót jest tam prowadzona. Systematyczność i porządna prawidłowość, która widnieje ze wszystkich szczegółów stopniowego tej nauki przeprowadzania, nietylko tworzy dobrą robotnicę, ale taka edukacja pracy umoralnia człowieka, daje mu wysoko cenny przykład gruntowności i rozważli, która powierczliwość i lekkomyślność usuwa. Wzory, okazujące kolejne kształcenie się uczennic, przedstawiają obraz, jak odbywało się to wedle dobrze obmyślanego planu, wprawiając rękę i oko uczennicy. Wiele tu znaczy nauka rysunku, która się razem z pierwszą nauką robót rozpoczyna i posuwa się równie od najprostszych linearnych, do coraz trudniejszych, wytworniejszych rysunków ornamentacyjnych. Estetyczny smak uczennicy wyrabia się wraz z uzdolnieniem ręki, wie ona co znaczy czystość linii, rozumie zasadę, na której oprzeć się powinna, aby robota jej wychodziła poprawnie. Liczne okazy rysunków uczennic, rozwieszane na ścianach każdego oddziału robót, okazują, jak ta gałąź nauki pomocniczej prowadzona była. Szkoła robót hr. Plater-Zyberg daje się zaliczyć do zakładów użytku publicznego.

— Sprawozdanie z działalności *Towarzystwa opieki nad biednymi matkami* okazuje rezultaty bardzo pomyślne. Przewodnicząca zakładowi hr. Julia Branicka uczyniła mu dar znaczny — dała całkowite umeblowanie i potrzebne zapasy bielizny, tak, że na urządzenie zakładu i jego kancelaryi Towarzystwo wydało jednorazowo tylko rs. 250 i coś drobnych. Przyjęto do zakładu kobiet 72, w tej liczbie większą część stanowiły ubogie matki rodzin; dzieci umieszczono na wychowanie 36. Koszta utrzymaniem dzieci przez 10 miesięcy, wynosiły razem 4512 rs. Z matek szukających przytułku w zakładzie nie umarła ani jedna, dzieci tylko czworo, co znaczy bardzo mały procent 10%. Jednym z warunków zakładu jest, że tylko uczciwe matki rodziny mogą tam być powtórnie przyjmowane; dla innych miłośniczek raz tylko drzwi tu otwiera. W sprawozdaniu, które ogłasza dr. Fritsche, znajdujemy zajmującą wzmiankę o pani „wysokiego rozumu i wielkiego serca“ która ze szczególną energią

poświęca się sprawom towarzystwa, nadaje instytucji ton szlachetny i dla każdej prawie z biednych, schronionych w zakładzie kobiet, znajduje „słowo pociechy.“ Jakkolwiek ta „niewidzialna dobrodziejka“ zakładu chce ze zwykłą prawdziwej dobroczynności skromnością, pozostać bezimienną, jednak odgaduje się w niej znaną panią M. W., która jest najczynniejszym członkiem Gospodarczego Komitetu zakładu. Niech Bóg i szacunek ogółu płaci każdej kobiecie szczęśliwej, nad troski powszedniego życia podniesionej, która w tem szczęściu swoim, w tem dostatniego życia używaniu samolubnie nie utonie i wydobędzie z tklivosti swego serca dość miłości uboższego, cierpiącego, aby—nietylko dać grosz od potrzeb swych zbywający, ale jakąś część swego czasu i swej własnej osoby, co jest dopiero rzeczywistym i prawdziwym miłosierdziem.

DROBNE LISTKI.

— **Kongres orientalistów**, który w Wiedniu dnia 27 Września otwarty, trwać będzie do 2 Października, zgromadzi nietylko europejskich badaczy Wschodu, ale przybywających z Egiptu, Indyi, Chin, Japonii. Wstęp na posiedzenia kongressu zapewnić sobie można, zapisując się po dzień 1 Sierpnia na jego członka i wnosząc opłatę 7 zł. reń., z czem należy się zwrócić do „organizacyjnego komitetu kongressu,” w gmachu Uniwersytetu Wiedeńskiego. Uczni, którzy na kongresie przemawiać, lub zapytania stawiać pragną, powinni podobnie po dzień 1-go Sierpnia zapisać się do głosu drogą wskazaną.

— **Tysiąc grobów rzymskich** odkryto w Krainie, w pobliżu miejscowości Dernawo. Znaleziono tam monety, łzawnice, naczynia gliniane, odesłane zostaną do muzeum w Lublanie.

— **Wspaniała fata morgana** była w tych dniach widziana na Morzu Bałtyckim, w pobliżu portu Kłajpedy. Załoga kupieckiego statku „Hansa,” który wypłynął z tegoż portu, dążył do Piławy, ujrzała nagle przy bardzo spokojnym morzu i zaciągnięciem chmurami niebie, wznoszące się tuż przed niemi jako bo z łona wód miasto wielkie. Widziano wyraźnie domy, wieże kościołów, ogrody—a kapitan statku zrozumiałszy natychmiast jakie to zjawisko ma przed sobą, szybko naszkicował ołówkiem jego obraz, co następnie pozwalało sprawdzić, że była to część Królewca, w zwierciadle powietrznym odbita. Ale rybacy, którzy również to widzieli, ulegli najpierw wielkiemu przestraszowi, następnie wytłumaczyli sobie widziadło na swój właściwy sposób. Lud to jest biedny Litwinów, poetyczny i swoją odrębność od niemieckiego miast zaludnienia silnie utrzymujący, i urosła też szybko między nimi baśń, mająca blizkie pokrewieństwo z podaniem, uwiecznionem przez Mickiewicza w balladzie *Świtezia*. Widzieli za zrzuceniem Bożem miasta, niegdyś tąsamą siłą mocy Bożej zatopione w morzu. I między naszym ludem błąka się w różnych okolicach legenda o miastach, wsiach, kościołach, a nawet ludziach we wnętrzu ziemi żyjących i odkrywanych też nagle.

— **Gounod** po wykonaniu swego ostatniego dzieła: oratorium „Mors et vita,” zabrał się już do innej pracy. Zamierza on ilustrować muzyką w stylu operowym, liryczny poemat francuzkiego poety Gallet'a, przedstawiający losy Abe-

larda i w czasie *Wystawy Powszechnej* w Paryżu (r. 1889) przedstawić to na scenie *Teatru Lirycznego*.

— **Rękopismo Petrarki**, obejmujące jego „Canzoniere,” zostało odkryte w bibliotece Watykańskiej przez niemieckiego uczonego, Artura Pakschera. Ze rękopismo to znajduje się tam, wiadano oddawna, ale odszukać go nie było można, aż wspomniany wyżej professor niemiecki dokonał tego za pomocą starego katalogu z XVI w. Jest ono w połowie własną ręką Petrarki, w połowie przez kogoś innego pod jego dozorem spisane, i prawdziwy text sonetów Petrarki teraz dopiero ustalonym być może. Prof. de Nolhac, Francuz, ubiega się o pierwszeństwo odkrycia, także przy pomocy owego starego katalogu, ale odkrył on inny autograf włoskiego poety: jego Eklogi i traktat „De sui ipsius et multorum ignorantia.” Takie jest zdanie rzymskiej akademii „dei Lincei.”

— **Lesseps**, siedzący wygodnie w Paryżu, kontroluje codziennie postęp robót przy kanale Panama—za pomocą fotografiil Roboty ziemne są na miejscu codzien fotografowane i przesyłają mu to pocztą, tak, że zna cały przebieg tych robót, a w razie, gdy chce zmiany w szczególe jakim, wydaje natychmiast rozkaz—telegrafem.—Przestrzeń istnieje już zatem tylko dla tęsknoty serc kochających.

— **Barwy cieni**, rzucanych przez ciała, zmieniają się ciągle od wschodu do zachodu słońca. Rano są białawe, później szare, ciemno-szare, szaro-brunatne, aż w południe stają się zupełnie czarnymi, aby na odwrót błędnąć aż do zachodu słońca, i ztąd koloryt krajobrazu ulega zmianom, sprawiającym i różnice efektów, które odbijają się w dziełach sztuki, wedle tego, w jakim czasie obraz natury jest zdejmowanym.

— **Andriollego rysunek** ukazał się w angielskim dworskim tygodniku: *The Queen* (Królowa) przedstawiający młodą dziewczynę w lekkiej odzieży białych muślinów, z rozpuszczoną i wdzięcznie rozrzuconą kosą bujnych, długich włosów. Żadna, miła, ślicznie uśmiechnięta, jedną ręką odslania ciężką draperję firanki wielkiego, pałacowego, szerokie otwarcie dającego okna—drugą opiera się o jego dolną framukę, wychylając się na przód w powabnym, niemal całej postaci przegięciu, dla powitania poranka. Tytuł obrazka jest najpierw: „O wschodzie słońca,” następnie: „Używanie wczasu.” Odpowiada on drugiemu, holenderskiej malarki, Ernestyny Friedrichsen, przedstawiającemu „Pracę,” w postaci młodej, łagodnej, kobierzec naprawiającej kobiety, umieszczonej na malowniczym tle wnętrza holenderskiego domu. Nasz artysta podpisał się na boku swego obrazka: „Andriolli z Wilna.”

— **Odkrycie starożytnego archiwum** w Bari, okazało się bajką, przez młodego studenta, przybyłego tam z Rzymu, dla zabawki własnej tylko puszczonej.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencją Marryat.

TREŚĆ. Anna Libera (Anna L. Krakowianka), Wspomnienie pośmiertne, przez Maryana Dubieckiego.—Co to jest miłość? poezya, przez Szczygłową.—Pogawędka.—Bczy gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego.—Nowiny paryżkie.—Korespondencya zagraniczna, Wiedeń. *Kronika działalności kobiecej.*—Drobne listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencją Marryat.—31 wzorów ubiorów robót wraz z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycyą stołu.